

Zdzisław Juliusz Krysiewicz
ul. Gen. J. Bema 89A m 16.

BIAKYSTOK

Uwaga: Tekst powstał w oparciu o ustną
relację/taśma/ oraz fragmenty pamię-
tnika Zdzisława - Juliusza Krysiewicza

© ARCHIWUM WSCHODNIE

Mój ojciec - Lucjan Krysiewicz - był wójtem w gminie Kowalew-
szczyzna. Był wybrany już na drugą kadencję w 1937-mym roku po ka-
dencji poprzedniej. Matka była gospodynią domową, ponieważ mieliśmy
własne gospodarstwo o powierzchni dwunastu i pół hektara bardzo
dobrej ziemi. Uczyłem się w szkole powszechnej w Waniewie. Do cza-
su wybuchu wojny ukończyłem pięć klas.

Kiedy wybuchła wojna, początkowo weszli Niemcy. Mój ojciec ucie-
kał przed Niemcami, ponieważ bał się aresztowania. Chodziło o to,
że w czasie działań wojennych ojciec pomagał przewozić się od-
działom polskim w przeprowie ich przez narew w czasie odwrotu.
Ojciec dotarł aż pod Wilno. Wrócił jednak do Waniewa, gdy się oka-
zało, że ojcu nie grozi żadna kara. I tak rzeczywiście było.

Zadecydował o tym przypadek. W miejscowości Kurowo, odległej
od Waniewa o pięć kilometrów, był majątek, którego właścicielem
był Niemiec. Jego nazwiska w tej chwili już nie pamiętam. Jego ro-
dzony brat był właśnie dowódcą tego odcinka. I on właśnie powie-
dział, że Krysiewicz jest bardzo dobrym człowiekiem i on nigdy nie
zrobiłby jakichś nadużyć. Jeśli coś takiego zrobił, to jako Polak
i dobry patriota.

Wówczas Niemcy wezwali ojca i kazali mu nadal pracować w gmi-
nie na dotychczasowym stanowisku. W gminie zrobiono tylko taki po-
rządek: zrzucano portret Rydza-Śmigłego. Portretu J. Piłsudskiego
nie ruszono. Powiedziano, że ten portret może zostać, bo gdyby Dzia-
dak żył, nie doszłoby do wojny.

Tak doczekaliśmy się wejścia na nasze tereny Sowieców. Gdy wesz-
li Sowieci, ojciec zdał swoją pracę w gminie, bo nie chciał praco-
wać za czasów sowieckich. Przeszedł do pracy na gospodarstwie.

Ojca aresztowano dokładnie w dniu siódmego listopada 1939-go roku. Początkowo siedział w Tykocinie, a następnie został przewieziony do Białegostoku. Następnie, w dniu 13-go kwietnia 1940-go roku przyjechali po nas. Opis tego najścia jest po prostu nie do pomyslenia. Jak ci ludzie mogli się zachowywać w stosunku do nas. Mnie, dwunastoletniemu chłopcu nie pozwolono się ruszyć, ponieważ w czasie przeszukiwania znaleziono u mnie straszak. Na tej podstawie podejrzewano nas, że posiadamy broń. Mimo tego, że ojciec zdał Sowiecom broń, którą miał: pistolet belgijski /siódemkę/. Ktoś jednak sypnął, bo skąd oni mogli wiedzieć, że ojciec ma jeszcze siódemkę polską. Zabrali i polską siódemkę. Ta siódemka to była prawdopodobnie nagroda z tamtej wojny, jeszcze z czasów legionów. Ale o tym dokładnie nie mogę powiedzieć. W każdym razie oba pistolety zabrano.

Przyszli do nas po północy. Zastukano do drzwi. Na pytanie matki "Kto to?" usłyszeliśmy odpowiedź: "Otkrywaj, NKWD". Po otwarciu drzwi wszedł do domu oficer NKWD i dwóch żołnierzy oraz przedstawiciel Rady Wiejskiej /Sielsowietu/. Pobudzono nas wszystkich: mamę, starszą siostrę /14/, mnie /12/ oraz siedmiomiesięczną siostrzyczkę. Zbudzono też 72-letniego dziadka - ojca mojego ojca /Wojciecha/.

Zaczęła się niesamowita szarpanina. Wszystko przewrócono do góry nogami. Z szaf wyrzucano wszystkie rzeczy na środek mieszkania. Ojciec miał taką swoją podręczną biblioteczkę, która liczyła ponad trzysta różnego rodzaju tomów. To te książki brano za okładki i trzęsiono. Z książek usypano dosłownie taką górę. Tak szukano rzekomo jakichś dokumentów. Wówczas to w jednej z szuflad znaleziono mój straszak. Oficer NKWD posadził mnie na stole i kazał żołnierzowi mnie pilnować nie pozwalając mi się ruszyć. Rewizja trwała około dwóch godzin. Żądano do nas, żebyśmy wyдали dokumenty ojca. Nie mieliśmy żadnych dokumentów ojca, ponieważ przy aresztowaniu ojca

przeprowadzono dokładną rewizję i wówczas zabrano wszelkie dokumenty.

Po zakończeniu rewizji kazano nam poukładać rzeczy i oświadczono, że pojedziemy w etap. Pozwolono nam zabrać po sto kilogramów na osobę. Ja w dalszym ciągu musiałem siedzieć na stole, zaś mama musiała opiekować się najmłodszą siostrą, która wyrwana ze snu, bardzo płakała. Natomiast dziadek nie chciał wstać z łóżka i oświadczył, że nigdzie nie pojedzie. Zastrzegł, że nawet pod groźbą śmierci nie ruszy się z łóżka, bo jest ciężko chory.

Byliśmy tak roztrzęsieni, że nie wiedzieliśmy w ogóle, co mamy brać. Wówczas zapytano nas, komu moja mama przekazuje te wszystkie nasze rzeczy. Wynikła też sprawa dziadka, którego NKWD-ysta próbował ściągnąć z łóżka. Kiedy dziadek w bieliźnie padł na podłogę i oświadczył kategorycznie, że mogą go zabić, ale on z domu się nie ruszy /dziadek doskonale mówił po rosyjsku/, wówczas NKWD-ysta ustąpił. Mamusia powiedziała, że dziadkiem może zaopiekować się jej młodszy brat, który mieszkał około dwustu metrów od nas. Wówczas wezwano brata.

Kiedy przyszedł brat i zobaczył, co się tu dzieje, zrobił NKWD-ystom niesamowitą awanturę: dlaczego nie pozwolono nam zabrać podstawowych rzeczy. NKWD-ysta i tym razem ustąpił i pozwolił bratu zapakować nasze niezbędne rzeczy, część rzeczy ojca /ubrania, buty/ i wiele jeszcze innych rzeczy. Następnie sporządzono stosowny protokół na pozostawiony inwentarz i majątek trwały oraz zobowiązanie brata do opieki nad dziadkiem.

Po dokonaniu przekazania majątku podjechały dwie furmanki, na które załadowano nas i pojechaliśmy na drugu brzeg wioski, gdyż stamtąd miano zabrać jeszcze jedną rodzinę. Po przybyciu pod ten dom okazało się, że w tym domu jest tylko mały, dziewięcioletni chłopak, gdyż matka zorientowawszy się w sytuacji w ostatniej chwili

li uciekła przez okno. Po przeprowadzeniu krótkiej rewizji zabrano chłopca, a w charakterze jego opiekunki - siostrę jego ojca.

Następnie pojechaliśmy z Waniewa do wsi Kowalewsczyzna, położonej o dwa kilometry obok Waniewa. Zajechaliśmy tam po rodzinę państwa Gajdowskich. Ten chłopak, który z nami jechał, nazywał się Jerzy Janeczko, a jego ciocia - Maria Janeczko.

W domu państwa Gajdowskich NKWD-ysta zachowywał się zupełnie inaczej, gdyż była to rodzina wielodzietna, niezamożna, jedynie ojciec był kiedyś wojskowym. Tu nie przeprowadzano rewizji, pozwolono im zabrać wszystko to, co chcieli.

Z Kowalewsczyzny pojechaliśmy do Łap. W Łapach załadowano nas do bydłych wagonów. W tych wagonach prócz podwójnych nar i dziury na środku podłogi do załatwiania się - nic więcej nie było. W takich warunkach mieliśmy podróżować.

Do naszego wagonu wsadzono czterdzieści parę rodzin. Ciasnota była tak straszna, że aby w nocy móc przewrócić się na drugi bok, należało obudzić sąsiada. Zresztą wszystkie wagony były tak samo zatłoczone. W tych wagonach byli i starcy osiemdziesięcioletni, panienki osiemnastoletnie, kawalerowie w tym wieku, dzieci, matki z dziećmi. Przy każdym wagonie na breku stało czterech uzbrojonych w karabiny i automaty żołnierzy, którzy stanowili ochronę. Najbardziej dokuczliwe i wstydlive było załatwianie się. Gdy ktoś podchodził do dziury, to jego zasłanianie jakimś paltem czy jakąś jesionką. Także i pod tym względem potraktowano nas jak bydło. Ciasnota i duszota były takie, że nie mieliśmy czym oddychać. Nie było możliwości nawet uchylecia okna.

W wagonach były rodziny oficerów, policjantów, urzędników oraz bogatszych gospodarzy wiejskich - uprzednio aresztowanych przez NKWD. Tu wspomnę, że mój ojciec jako wójt gminy Kowalewsczyzna, został aresztowany przez NKWD w dniu 7 listopada 1939-go roku.

Przez dwa dni, tj. 13-go i 14-go kwietnia zwożono do Łap z powiatu wysokomazowieckiego ludność przeznaczoną do wywiezienia. W dniu 14-go kwietnia w godzinach popołudniowych do pociągu zbliżył się ksiądz łapski, który żegnał wywożonych Polaków. Ksiądz żegnał nas z krzyżem. I wówczas, pamiętam, jak dzisiaj, jak zaśpiewano w wagonach pieśń: "Nie opuszczaj nas". Powstał dosłownie ryk w wagonie. Takiego krzyku rozpacz i takiego płaczu nie da się zapomnieć. Wokół wagonów zebrała się masa ludzi, żeby nas pożegnać. O godzinie 16.00 pociąg ruszył z Łap.

Wówczas wiedzieliśmy tylko tyle, że jedziemy do Związku Radzieckiego, gdyż wcześniej - w lutym - wywożono z naszych terenów gajowych i osadników. Nie wiedzieliśmy tylko konkretnie, dokąd jedziemy. Jak przyszłość pokazała, jechaliśmy przez czternaście dni i czternaście nocy. W tym czasie tylko dwa razy nam podano wyżywienie, ciepłą strawę. I tylko dwa razy nas wypuszczono z wagonu na spacer. Podawano nam przegotowaną wodę, ale różnie to z tym było, bo ludzie powszechnie chorowali na żołądki. Za całe czternaście dni. A tak, przez cały czas siedzieliśmy tylko w wagonach. Pamiętam, jak moja siedniesięcioletnia siostrzyczka ssała krew z piersi matki, gdyż brak było pokarmu. Nadmieniam, że wprawdzie dwukrotnie dano nam zupę, lecz za drugim razem po jej spożyciu wszyscy dostali rozstroju żołądków.

W wagonie jechali ludzie starzy, w średnim wieku, młodzież i dzieci. Toteż przy załatwianiu potrzeb fizjologicznych wszyscy bardzo się krępowali, gdyż jedyną osłoną przed wzrokiem sąsiadów była jakaś jesionka lub koc, trzymany przez kogoś z rodziny. Trudno wprost opisać zaduch i smród, jaki panował w wagonie nie mówiąc już o bólu odleżałych boków, gdyż między narami brakowało miejsca, aby móc poruszać się. Szczególnie to było dokuczliwe dla dzieci i ludzi w podeszłym wieku. Zwłaszcza dzieci, które z racji swojego wieku muszą

mieć dużo ruchu.

Jechaliśmy całymi dniami i nocami prawie bez przerwy. Przez cały ten czas nie wiedzieliśmy dokąd jedziemy ani gdzie konkretnie w danej chwili się znajdujemy, bo nas o tym nie informowano. Nic też nie mogliśmy zobaczyć, gdyż okna wagonu były zasłonięte.

Wyładowano nas po czternastu dniach jazdy, dwudziestego siódmego kwietnia na stacji Kokczetawa. Tu załadowano nas na odkryte ciężarówki, "Zis - 5". Tu wrzucono także nasz bagaż i mimo zimna, właśnie na odkrytych ciężarówkach powieziono nadal w nieznane. Temperatura wahała się w granicach od minus dwóch do plus dwóch stopni. Do to przecież był kwiecień. A to przecież Syberia. Na stepie i polach leżał jeszcze zimowy śnieg. Tak nas wieziono przez 185 kilometrów, do miejscowości Kazanka. Dokładny adres: Siewiernokazachstańska obłast, aiertałskij rejon, sieło Kazanka /północnokazachstańskie województwo, aiertałskij powiat, wiaś Kazanka/. Tu nas rozładowano do starego domu parafialnego. Obok w gruzach leżała cerkiew. Ten dom początkowo po rewolucji spełniał rolę domu kultury, a ostatnio magazynu, w którym jeszcze zastaliśmy około pięciu metrów zmarzniętych ziemniaków. Do takiego pomieszczenia załadowano nas dwadzieścia trzy rodziny.

Pomieszczenie to bardziej przypominało chlew niż schronienie mieszkalne dla ludzi. Podłoga była przegniła, piec rozwalony, drzwi połamane, okna powybijane i niesamowity brud. Na nasze powitanie zbiegła się prawie cała wieś. Nie przybyli ci ludzie po to, aby nas przywitać, ale po to, aby nas poprostu zobaczyć, gdyż już wcześniej im zapowiedziano, że będą przywiezieni "polskije pany". Jedni więc przybiegli kierowani zwykłą ciekawością, jak wyglądają polskie "panny", gdyż taka była bolszewicka propaganda. Ale mieszkający tu Polacy, wywiezieni tu w 1936-tym roku z Ukrainy witali nas chlebem i solą i już na początku ofiarowywali nam swoją pomoc. Ci ludzie

doznali już wystarczająco dużo krzywd od sowieckoj władzi. Ale podstawowa masa ludzi przybiegła tu głównie po to, aby zobaczyć polskich krwiopijców. Przyszłość miała jednak pokazać, że nie byli to ludzie źli. Zresztą miejscowość Kazanka zamieszkiwali sami skazańcy. Pierwsi zesłańcy przybywali tu już za czasów carskich. Reszty dopełniły zsyłki z lat trzydziestych. Ale ich spotkał jeszcze gorszy los, bo ich tu przywieziono i zrzucano po prostu na stepie, bez niczego i kazano im samym budować ~~same~~ wszystko od początku. Zaczynali od ziemianek. I w tych właśnie ziemiankach mieszkali. I właśnie ci ludzie przyszli nas przywitać często może z ostatnim kawałkiem chleba. Witali nas jako następnych zesłańców.

W zastanych tam warunkach nadsposób było żyć. Zaczęliśmy, każdy na swoją rękę, poszukiwać mieszkania. Wieś była duża, położona nad rzeką Burłuk. Wiele domów było zbudowanych z okrągłych bali, większość jednak stanowiły ziemianki. Były to po prostu małe chatki, zbudowane z darniny, oblepione gliną. Podłogi w tych domach były gliniane. Chatynki były jednoizbowe z jednym okienkiem.

Nasza rodzina zamieszkała początkowo w domku stałego mieszkańca Syberii, który z zawodu był traktorzystą. Za mieszkanie płaciliśmy tymi rzeczami, które przywieźliśmy z Polski. Rodzina ta składała się z siedmiu osób: mąż, żona i pięcioro dzieci w wieku od jednego roku do dwunastu lat. Było tam tylko jedno łóżko, na którym spał gospodarz z żoną-gospodynią. Natomiast dzieci spały na podłodze i na piecu chlebowym, gdyż tam palono i gotowano w piecach chlebowych w specjalnych, do tego przygotowanych garnkach, w tzw. 6zugunach. W tym jednoizbowym mieszkaniu zamieszkaliśmy i my. Spaliśmy oczywiście na podłodze. W tym mieszkaniu, w tych warunkach pozostawaliśmy aż do jesieni 1940-go roku.

Z nami byli:

- rodzina doktora Włostowskiego z Sokół,
- państwo Rzeczkowscy z Sokół

- rodzina kapitana Borowskiego z Łap,
- Paszkiewiczze z Łap - Ossego,
- Zarzeccy z Łap-Ossego,
- Łupińscy z Kobylina,
- Brzozowscy z Kobylina,
- rodzina policjanta Gąsowskiego, który przed wojną był policjantem w Augustowie,
- Marianna Mariańska, siostra policjanta z Sokół. Sama pochodziła z gór, była góralką.
- Czaczkowscy z miejscowości Czaczki Małe,
- Jabłonowscy z Sokół,
- Łupińska z Łupanki Starej,
- Gajdowscy z Kowalewszczyzny.

I te rodziny musiały, na własną rękę, szukać mieszkań u tych kołchoźników. Za mieszkanie płaciło się rzeczami przywiezionymi z Polski. Zresztą i wyżywienie można było dostać właśnie za te rzeczy. Musieliśmy sprzedawać nasze rzeczy, gdyż początkowo do pracy nas do kołchozu nie przyjmowano. Natomiast przyjmowano nas do pracy w leśniczówce. Zatrudniano nas przy sadzeniu drzewek. Pracowaliśmy tam chyba ze trzy miesiące. Ale nikt nam za to nie zapłacił. Każdy z nas jakoś musiał sobie radzić. Korzystaliśmy przy tym z pomocy naszych rodzin w Polsce. Od nich dostawaliśmy pieniądze i od nich dostawaliśmy paczki. I to było podstawą naszego utrzymania.

Natomiast kiedy wybuchła wojna i kiedy wszystkich mężczyzn zabrano do wojska / chodzi o wybuch wojny niemiecko-sowieckiej/, to wówczas zmienił się nieco stosunek Rosjan do nas Polaków. Bo dotychczas byliśmy tylko my wielkimi wrogami. Później wrogami zostali Niemcy. Z kołchozów wszystkich mężczyzn zabrano do wojska. Zostali tylko tacy, którzy rzeczywiście byli inwalidami. A jeśli któregoś ~~z~~ ^{do} mężczyznę nie powołano do wojska - to ^{do} fabryki. Zatrudniano też przy

budowie kolei. Wszystką młodzież z kolchozów powywożono do szkół. Umieszczono ich w tzw. "ŻU", co znaczy "żeleznodorożnoje uczyłiszcz-e" lub do "FSU", też związanym z budownictwem kolejowym. Nam wówczas zaproponowano wyjazd na budowę kolei.

Jeszcze wcześniej, bo jesienią 1940-go roku musieliśmy zmienić mieszkanie. Nasz gospodarz przez całe niemal lato, jako traktorzysta, przebywał w polu. Kiedy wrócił jesienią, okazał się być pijakiem i wielkim awanturnikiem. Jego cała rodzina często musiała uciekać z domu i my z tego powodu postanowiliśmy zmienić mieszkanie. Nie mogliśmy tam dłużej wytrzymać.

Zamieszkaliśmy w ziemiance. Tu warunki były znacznie gorsze tym bardziej, że już w dniu 4-go października spadł śnieg i zaczęły się prawdziwe mrozy. Zimą dochodziły do ponad pięćdziesięciu stopni. A przy tym były bardzo często śnieżyce. Przeciętna grubość pokrywy śnieżnej wynosiła ponad dwa metry. W ziemiance tej mieszkaliśmy w jednej izbie na glinianej podłodze wraz z rodziną, składającą się z sześciu osób. Do tej ziemianki była dostawiona przybudówka dla krowy i owcy. Zimą, kiedy były duże mrozy, z nami mieszkały dwa małe jagniątka. Tu zima trwała do maja.

Utrzymywaliśmy się z paczek i pieniędzy przesyłanych przez rodzinę w Polsce. Latem pracowaliśmy przy sadzeniu i przy wyrębie lasu.

W lipcu 1941-go roku zaproponowano nam wyjazd na budowę kolei. Przewieziono nas do Akmolińska. W Akmolińsku zamieszkaliśmy w baraku, w którym mieszkało 150 rodzin polskich. Był to drewniany barak, w którym były dwa piece grzewcze i jedna czterofajerkowa płyta. Zadaniem naszym była praca przy budowie torów kolejowych na odcinku 1600 kilometrów Akmolińsk - Kartaly /Stalinsko - Magnitogorskaja Magistrala/. Tam były wykonane nasypy, a rękoma Polaków została wybudowana ta linia kolejowa. Szefem tej budowy był generał Sientiu-

ryn. Bo wtenczas wprowadzono już stan wojenny. Stan ten obowiązywał na całym zapleczu, także i na kolei.

Początkowo do pracy chodziła tylko moja mamusia i siostra. Natomiast ja opiekowałem się młodszą siostrą /miała wówczas półtora roku/, robiłem zakupy i przyrządzałem posiłki. Mama i siostra pracowały na kolei. Praca na kolei polegała na podsypywaniu ziemi i układaniu torów. Zimą praca ta była szczególnie uciążliwa, gdyż nawet nocą wzywano do pracy, żeby usuwać śnieg zasypujący tory.

W lipcu 1941-go roku gen. Sikorski zawarł umowę ze Związkiem Radzieckim, na mocy której Polacy mieli być zwolnieni z łagrów i zaczęto tworzyć Wojsko Polskie. Codziennie wychodziliśmy na stację czekając na powrót ojca, z którym od chwili wybuchu wojny nawiązaliśmy korespondencję. Kiedy ojciec nie wracał i już straciliśmy wszelką nadzieję, w lipcu - z głodu i wycieńczenia - zmarła moja najmłodsza siostra. Miała wówczas rok i jedenaście miesięcy. Jej śmierć bardzo przeżyła moja mamusia. Od tego czasu zaczęła poważnie chorować na serce. Zacząłem ją wyręczać i za nią chodzić do pracy. Wcześniej to uzgodniono ~~to~~ z majsterem, który okazał się bardzo wyrozumiałym człowiekiem i zgodził się na zastępstwo. Wreszcie i ja też zacząłem chodzić do pracy.

Przyczyna była oczywista: dla pracujących były inne, wyższe racje żywnościowe. Pracujący otrzymywał 600 gramów chleba i kartki na półtora kilograma mięsa, kilogram dwadzieścia deko mąki względnie kaszy, czterdzieści deko tłuszczu i czterdzieści deko cukru. To była porcja miesięczna /oprócz chleba, oczywiście/. Z tych kartek wycinano nam talony, a żywność wydawano nam w stołówkach. Różnie to z tym było: wycinano mięso a dawano groch lub soczewicę gdyż, jak nam mówiono - to też było białko.

Natomiast niepracujący otrzymywali trzysta gramów chleba dziennie i dwadzieścia gramów cukru na miesiąc. Wiadomo, co znaczą takie

porcje. Wiadomo też było, że pracujący musiał dzielić się z niepracującymi. Nic dziwnego, że dwunasto-trzynastoletnie dzieci szły do pracy, żeby móc wyżyć. W baraku, jak wspomniałem, była tylko jedna płyta do gotowania. Ale wystarczyła. Bo nie było z czego gotować i nikt nie gotował.

W lutym 1942-go roku niespodziewanie wrócił do nas z łagrów ojciec. Był tak wycieńczony, tak schorowany i opuchnięty, że spodnie musiałem mu rozcinać, gdyż z opuchniętych nóg nie mogłem mu ich zdjąć. Lekarze nie dawali najmniejszych szans na przeżycie. A wrócił dopiero w lutym 1942-go roku, gdyż został wprawdzie wypuszczony na podstawie umowy polsko - radzieckiej z lipca 1941-go roku, ale tereny, na których przebywał /Karełofieńska SSR/były okrażone przez Niemców. I dlatego przesiedział o pół roku dłużej.

Jechał do nas przez trzydzieści sześć dni. Kiedy przyjechał do nas, to nie mogłem go poznać. Był tak opuchnięty, że ciało na nogach miał popękane od opuchlizny. Ale w tym czasie w "Purze" /Państwowym Urzędzie Repatriacyjnym/ był angielski lekarz. I lekarze angielscy opiekowali się Polakami. I proszę sobie wyobrazić, że mamusia i ojciec musieli napisać oświadczenie, wedle którego lekarz nie ponosi konsekwencji za lekarstwo, które będzie podane mojemu ojcu. Lekarz powiedział, że to lekarstwo może być skuteczne, ale może być i tak, że ojciec nie wytrzyma.

Po zastosowaniu tego lekarstwa ojciec wyżył, ale pracować nie mógł. Tak więc z jednej ^{strony} nieopisana radość z powrotu ojca, a z drugiej strony nieszczęście: był chory i wycieńczony. Potrzebował szczególnego odżywiania, na które nas nie było stać. Okres choroby ojca wyczerpał wszystkie nasze oszczędności, jakie posiadaliśmy. Matka i siostra nie miały bielizny, gdyż sprzedawaliśmy wszystko, co jeszcze posiadaliśmy. Ja chodziłem w ubraniu z koca. Było to ubranie uszyte przez matkę, ręcznie. To ubranie nakładałem na gołe ciało, gdyż też nie posiadałem bielizny.

Po wyzdrowieniu ojciec pracować nie mógł i był na naszym utrzymaniu. Nadal sprzedawaliśmy nasze rzeczy, żeby tylko ojca utrzymać przy życiu. Wreszcie ojciec stanął przed komisją, która uznała 75% utraty zdrowia. Wówczas ojciec podjął pracę lżejszą - jako dozorca. Został dozorcą na budowie. My natomiast zostaliśmy przeniesieni do nowego miejsca pracy przy budowie tzw. "wagonoremontnyj zawod". To była specjalna, kolejowa budowa. Takich budowli było wiele. Dopiero później okazało się, że są to po prostu fabryki wojenne. Ja na tej budowie pracowałem jako muraż, tynkarz, a w końcu jako zbrojarz. Praca nasza polegała na tym,

Jak powiedziałem, na zapleczu wprowadzono stan wojenny. I tak, za opuszczenie jednego dnia pracy groziła kara od roku do pięciu lat więzienia. Za pierwsze piętnastominutowe spóźnienie dawano ostrzeżenie, za następne spóźnienie - potrącanie premii a za następne spóźnienie oddawano sprawę pod wojenny trybunał. A tu znowu groził wyrok od jednego roku do pięciu lat więzienia.

Nasze zarobki kształtowały się w granicach 80-120 rubli. Za te zarobki można było wykupić chleb i to, co nam na kartki dawano. Dodam, że prywatnie bochenek chleba o wadze 1,5 kilograma kosztował 250 rubli. Mogę jedno powiedzieć: tyle, ile ja tam zjadłem obierzyn, to w Polsce za całe życie nie zjadłem tylu pomarańczy.

Praca na kolei była bardzo ciężka. Przypominam sobie taką jedną noc, kiedy to podczas zawiei moja matka wraz z innymi została wysłana do oczyszczania torów. Mróz sięgał pięćdziesięciu stopni. Mimo, że mama była ciepło ubrana to jednak zmarzła tak mocno, że nieprzytomną przywieźli ją do domu. Długi czas chorowała. Po chorobie komisja lekarska uznała częściową utratę zdrowia i została przeniesiona do lżejszej pracy.

W styczniu 1943-go roku na kolei wprowadzono stan wojenny. Kierownictwo, tak jak w wojsku dostało stopnie wojskowe. Wówczas przenie-

siono nas do pracy na WRM /Wagono Remontno Mastierskije/, był to zakład w budowie. Na budowie tej zatrudniano ponad sześć tysięcy osób. Z chwilą wprowadzenia stanu wojennego wprowadzono dwunastogodzinny dzień pracy z jednogodzinną przerwą na obiad. Wprowadzono też wojenną dyscyplinę, która polegała na tym, że za wszelkie przewinienia sędził trybunał wojskowy.

W nowym przedsiębiorstwie ojciec pracował jako dozorca, matka jako sprzątaczką, a siostra jako pomoc murarza - praca jej polegała na donoszeniu zaprawy dla murarza. Była to praca bardzo ciężka, gdyż wszelkie prace pomocnicze odbywały się ręcznie, bez żadnych urządzeń technicznych, tym bardziej, że siostra miała zaledwie szesnaście lat. Praca ta szczególnie była ciężka zimą, gdyż mrozy dochodziły bardzo często do minus pięćdziesięciu stopni i poniżej, a zwalniano z pracy tylko wówczas, kiedy temperatura były poniżej pięćdziesięciu stopni z wiatrem. Zaprawę murarską robiono w cieplarniach i w nosilkach donoszono na drugie - trzecie piętro, tj. do wysokości dwunastu metrów. Ponadto podawanie namarznionych cegieł sprawiało bardzo częste rwanie się słabych rękawic, które dostawało się na określony okres, którego praktycznie one nie wytrzymywały. Bardzo często ręce ulegały pokaleczeniu i odmrożeniu. Niekiedy wracała z pracy z pokrwawionymi rękami.

Ja natomiast pełniłem rolę zaopatrzeniowca domowego. Praca moja polegała na wykupieniu chleba i wykupieniu obiadów w stołówce przyzakładowej, gdyż tylko w takiej formie można było zrealizować kartki. obiady przeważnie były jednolite. Zupy były tylko w dwóch rodzajach, tzn. rosolnik - były to rozgotowane zielone pomidory bez żadnych dodatków - i drugi rodzaj zupy to "szczy" - była to kapusta słodka, przeważnie zmagazynowana w kopcach, najczęściej przymrożona i bez żadnych dodatków. Do ~~szczy~~ zupy dodawano jedną małą łyżeczkę oliwy jako tłuszcz; natomiast drugie danie - łyżka kaszy jaglanej względnie jęcz

miennej lub łyżka kartofli i suszona ryba względnie kawałek ryby gotowanej lub kawałek żeberka czy innego mięsa, wiadomo, w granicach norm kartkowych.

Mieszkaliśmy w barakach drewnianych, przeważnie po 50 rodzin. W barakach tych zamiast łóżek były piętrowe nary, dwa piece grzewcze bez możliwości gotowania, wodę dowożono nam beczkowitzem. Pościel /każdy zaopatrzył się we własnym zakresie/ przeważnie były to ubrania, w których chodziło się na codzień. Ubrania stanowiły najczęściej watówki po żołnierzach zabitych na froncie, niejednokrotnie nawet nie prane, z zastygłą krwią. Wyjątek stanowiły nowe, z przydziału. Tak samo było z obuwem. Latem w tych barakach były niesamowite pluskwy, tak że często noce spędzaliśmy pod barakiem, nie mówiąc już o wszach, które stanowiły nieodłączne nasze towarzystwo.

W maju 1943-go roku na podstawie umowy Wandy Wasilewskiej z rządem Związku Radzieckiego powstał Związek Patriotów Polskich. Związek Patriotów Polskich organizował wojsko polskie, tzw. Pierwszą Dywizję im. Tadeusza Kościuszki z siedzibą w Sielcach nad ~~Łką~~ ^{stym} Łką. Dowódcą Pierwszej Dywizji został pułkownik Berling. Na wiadomość tworzenia się pierwszej dywizji podążali Polacy ze wszystkich ^{stym} Syberii do Armii. Wszystkie roczniki urodzonych do 1926-go roku, tak mężczyźni jak i kobiety. Z pozostałych utworzono koła Związku Patriotów Polskich. Do kół tych należeli tylko dorośli, dzieci oczywiście nie należały. W większych skupiskach Polaków, jak np. w mieście Akmoleńsk, gdzie skupisko Polaków liczyło około trzy tysiące osób, powstały polskie kluby i szkoły. Do takiej szkoły w Akmoleńsku uczęszczałem i ja, gdzie ukończyłem szóstą i siódmą klasę.

W maju 1945-go roku jako piętnastoletni chłopiec dostałem nakaz pracy i rozpocząłem pracę na budowie w charakterze pomocnika murarza, a ponieważ uczęszczałem do szkoły, to pracowałem tylko osiem godzin, gdyż w pozostałe godziny przeznaczałem na uczęszczanie do

szkoły, ponieważ szkoła była wieczorowa. Po trzech miesiącach, po krótkim przeszkoleniu, pracowałem już jako zbrojarz i sztukater. I na tym stanowisku pracowałem do końca pobytu w Związku Radzieckim, tj. do połowy kwietnia 1946-go roku.

Jesienią 1943-go roku na mocy uchwały rządu radzieckiego, wezwano wszystkich dorosłych Polaków do biur paszportowych celem wręczenia dowodów / paszportów zmuszających Polaków do przyjęcia obywatelstwa radzieckiego. Większa część Polaków, poza małymi wyjątkami, propozycję tę odrzuciła, mimo stosowania wszelkich szykan polegających na kilkudniowym przetrzymywaniu w areszcie. Przy takiej postawie Polaków odstąpiono od tej zasady.

Przyjmowanie obywatelstwa radzieckiego uzasadniono tym, że tereny z których zostaliśmy wywiezieni do ZSRR, to tereny Zachodniej Białorusi i Zachodniej Ukrainy. W lutym 1944-go roku aresztowano ojca pod zarzutem wrogiej agitacji przeciwko Związkowi Radzieckiemu, polegającej na agitowaniu obywateli polskich i podburzaniu przeciwko Związkowi Radzieckiemu w czasie akcji paszportowej. Po dwutygodniowym dochodzeniu na podstawie artykułu 58-go /kontrrewolucjonist/ i skazano go na dziesięć lat trudowych, isprawitielnych łagierej. Następnie wysłano go do Karłagu, skąd powrócił do Polski 16-go maja 1948-go roku.

Od tego czasu cała rodzina, a szczególnie ja, byliśmy pod stałą kontrolą NKWD, polegającą na bardzo częstym wzywaniu nas do biura NKWD na przesłuchania, jak też na nasyłaniu na nas szpicli spośród współpracowników.

Zaznaczam, że w tym czasie, kiedy mieliśmy kartki w ograniczonej normą, funkcjonariusze NKWD i milicji mieli specjalne sklepy, w których bez ograniczenia mogli zaopatrzyć się w artykuły żywnościowe jak i w inne asortymenty i dlatego tak krótko trzymali w garści pozostałych obywateli.

Do szkoły dojeżdżałem trzy razy w tygodniu pociągiem podmiejskim, gdyż my mieszkaliśmy koło stacji Akmoleńsk, a szkoła moja mieściła się w mieście oddalonym o cztery kilometry. Uczęszczałem do szkoły tylko trzy razy w tygodniu, ze względu na to, że w budynku szkolnym udostępniano nam kilka pomieszczeń, a młodzieży chętniej do szkoły było dużo i dlatego uczyliśmy się na zmiany. Mimo, że uczęszczałem do szkoły tylko trzy razy w tygodniu, przez wszystkie dni tygodnia pracowałem tylko po osiem godzin, gdyż miałem dobrego majstra, który mimo iż wiedział, że ja uczęszczałem do szkoły tylko trzy razy i obowiązkiem jego było zwalniać mnie z pracy tylko w dniach nauki, on zwalniał mnie cały tydzień. Był to starszy człowiek, inwalida wojenny, człowiek samotny, Rosjanin, który nienawidził władzy sowieckiej, gdyż jak się dowiedziałem, później, był synem carskiego oficera. Był namiętnym graczem w domino i warcaby, toteż całymi wieczorami grałem z nim w zamian za co miałem pewne ulgi.

Latem 1944-go roku mnie, moją siostrę i szereg innych młodych pracowników w uzgodnieniu z kierownictwem budowy skierował nas do pracy na gospodarstwo pomocnicze, gdzie była znacznie lżejsza praca, polegająca na pieleniu ziemniaków, kapusty i prosa, gdyż tylko takie rośliny były uprawiane na naszym gospodarstwie. Miało to swoje dobre strony, gdyż brygada składająca się z dwunastu osób, podlegająca tylko brygadziście, a była nim starsza pani, Rosjanka, bardzo wyrozumiała kobieta, która dużo przeżyła w czasie rewolucji.

Złą stroną było to, że byliśmy oddelegowani ze stałego miejsca zamieszkania. Zamieszkaliśmy w zbitej z desek budzie, gdzie zrobiono nam tylko nary do spania, wstawiono żelazny piecyk, na którym mogliśmy ugotować wodę. Przywożono nam chleb co trzy dni, natomiast z kartek z których na miejscu mogliśmy korzystać ze stołówek - wydawano nam suchy prowiant. Zamiast mięsa wydawano nam półtora kilograma suszonej ryby, niesamowicie słonej, czterdzieści dekagramów oleju i 1,2 kg

kaszy. Praktycznie, za wyjątkiem ciepłej wody, byliśmy pozbawieni ciepłej strawy. Tam pracowaliśmy cztery miesiące, gdyż tyle tam trwa lato. Tam nauczyliśmy się dużo praktycznych rzeczy, np. jak na płycie piec placki z prosa, które mięliśmy w prymitywnych żarnach, zrobionych z kawałka blachy, w której dziury powybijaliśmy zwykłym gwoździem. Mąkę tę zalewaliśmy gorącą wodą, gdyż w przeciwnym wypadku nie zlepiła się. Robiliśmy też placki z kartofli z łupinami. Zaznaczam, że te artykuły były przez nas kradzione.

Po powrocie jesienią do Akmolińska przystąpiliśmy do wykonywania swoich obowiązków. W tym czasie na naszą budowę z wyzwolonych terenów kaukaskich przez Armię Czerwoną przywieziono do nas do pracy plemiona kaukaskie Inguszi, bałkarców i Czeczenów, którym zarzucano współpracę z okupantem, to jest z Niemcami. W ten sposób poszerzyła się rodzina różnorodności na naszej budowie, do której należeli Kazasi, Tatarzy, Niemca z Nadwołża, Ukraińcy, Polacy wywiezieni w 1936-tym roku z Ukrainy, Polacy wywiezieni w 1940-tym, Cyganie, Żydzi, Białorusini, Litwini, Łotysze, Estończycy, Finowie itd. Muszę zaznaczyć, że mimo tej różnorodności współżycie układało się dobrze, gdyż czuliśmy się jednakowo pokrzywdzeni przez władze.

Zimą na naszą budowę przywieziono jeńców wojennych - 1500 osób. Sporządzono dla nich oddzielne baraki, otoczono drutem kolczastym i ustawiono wartowników, tak jak w łagrach. Byli to przeważnie Węgrzy Czesi i kilkunastu jeńców niemieckich. Do pracy ich przyprowadzano pod konwojem, zatrudniano przeważnie przy rozładunku wagonów z materiałami budowlanymi tj. cegły, wapna, żwiru, piasku itp. Majster mój zatrudnił mnie przy nich w charakterze tłumacza, mimo że ja sam niewiele rozumiałem ich mowy, jedynie z Czechami mogłem się dogadać, tym bardziej, że kontakty mieliśmy tylko z oficerami, którzy nie pracowali, a pełnili funkcje nadzorcze. Oficerowie ci byli znacznie lepiej traktowani niż żołnierze. Dostawali większe racje żywnościowe, dzie-

się sztuk papierosów dziennie i co tydzień wymianę onuc /było to płótno lniane/. Na płótnie tym robiliśmy interes. Brałem od nich to płótno i sprzedawałem na bazarze za papierosy i chleb, wiadomo, z pewnym zyskiem. Zaznaczam, że mróz i głód dziesiątkował niesamowicie tych jeńców, tak, że przez okres zimy powstał ogromny cmentarz, a żywych zostało tylko kilkanaście osób. Były takie sytuacje, których nie można opisać. Zmarznięty i zgłodniały jeńiec podchodził do robotnika pracującego na wolności prosząc o kawałek chleba i konał. Wiosną obóz został zlikwidowany.

Powróciłem do normalnej swojej pracy. W tym czasie wezwano mnie na przeszkolenie wojskowe, wraz z chłopcami rocznik 1928. Po przeszkoleniu dwutygodniowym Rosjan i Kazachów wcielono do wojska. Ja natomiast ~~zostałem~~ jako Polak zostałem zwolniony.

Wracając jeszcze do sprawy zmuszania Polaków do przyjmowania obywatelstwa polskiego chcę dodać, że mnie konkretnie nie zmuszano, bo byłem jeszcze do tych spraw za młody. Pamiętam, że pozostałych z rodziny często wzywano w tej sprawie do biura NKWD.

Nawet w największe mrozy pracy nie przerywano. Jak już mówiłem, zaprawę rozrabiano w cieplarni i przynoszono na stanowisko. A mrozy sięgały pięćdziesięciu stopni. Zanim ją doniesiono - już zamarzała. Jeśli murarz położył cegłę krzywo, to już tak zostawała. Efekt był taki, że wiosną rozkuwano całe ciągi murów, bo były one po prostu nierówne. Ale: ^wrobotaj i nie rozsądź. Taka niestety obowiązywała zasada. Ponieważ jeńcy, w te straszne mrozy, byli tylko w tych płaszczykach i ubraniach, w których byli na froncie, to po kilku minutach marzli. A do cieplarni ani do pomieszczenia ogrzewanego nie można było ich wpuścić. I dlatego po zimie z tysiąca pięciuset osób zostało tylko dwustu trzydziestu dwóch. I wszystko to w jedną zimę. Podchodzili do nas - chociaż sami nie mieliśmy nic - i żebrawali papierosa czy kawałek chleba czy prosili o jakąś inną pomoc.

W dniu dziewiątego maja 1945-go roku doszła do nas wiadomość o zakończeniu wojny. Radość była niesamowita, ludzie całowali się, ścisкали się, napełnieni nadzieją, że w końcu ta katorga się skończy. Jednak zmiany tak szybko nie następowały. Ludzie pracowali tak samo, dyscyplina była taka sama, a zaopatrzenie wcale nie lepsze. Tak jak przedtem krzyczano: "wsie dla fronta, wsio dla pabiedy", tak teraz tylko zmieniły się hasła: "pracować dla odbudowy", u nas zmieniło się tylko to, że mogliśmy prowadzić korespondencję z rodzinami w Polsce.

Jeszcze rok czasu musieliśmy czekać na możliwość powrotu do ojczyzny, gwarantowała nam to umowa polsko - radziecka z dnia 6-go lipca 1945 roku o ewakuacji ludności polskiej i żydowskiej pozwolono nam wracać do domu. Polacy, którzy w 1944-tym roku przyjęli dowody osobiste o poddaństwie rosyjskim, wprawdzie było ich niewielu z szansy tej skorzystać nie mogli. Rozpacz ich była niesamowita. Ale nie było rady.

Osiemnastego kwietnia 1946-go roku, załadowano nas w Akmolińsku do wagonu i ruszyliśmy z powrotem do kraju.

Wagony te w zasadzie niczym się nie różniły od tych, którymi nas wywożono na Syberię. Były tak samo zbite podwójne nary, z tą tylko różnicą, że na środku nie było dziury klozetowej i nie było konwojentów. Kierownikiem transportu był pułkownik NKWD, z którym można było porozmawiać, uzyskać informacje itd.

Nie zapomnę nigdy tej rozmowy, którą przeprowadziliśmy jako młodzi chłopcy z pułkownikiem. Zapytał nas, "Po co jedziecie do Polski, kraju zniszczonego przez okupanta, nie mającego żadnych szans rozwoju? Powinniście pozostać w Związku Radzieckim, gdyż tu po wojnie są większe szanse tak nauki jak i pracy, no i warunków życiowych". Na odpowiedź uzyskaną ode mnie, że Polska to mój kraj, ojczyzna wolna i tylko w niej jest moje miejsce, powiedział: "Zapomnij raz na

wsiegda,eto tiebie gawarit ruskij oficer,czto Polska budiet,no nikagda samostajatielnaja.Wie na to my krew praliwali,cztoby ana była samostajatielnaja,ona budiet naszej siemnadcatoj republikoj."

W dniu 9-go maja 1946-go roku przekroczyliśmy granicę z Polską w Brześciu.Radość była nie do opisania.Ludzie całowali ziemię.Udaliśmy się na mszę do kościołka.Tu w Brześciu zaczęła się segregacja,gdyż część rodzin,pochodząca z Białostoczczyzny została wysadzona z wagonów.Pozostali udali się na ziemię odzyskane.My natomiast wsiedliśmy do wagonu i pojechaliśmy przez Białystok do Łap,stąd furmanką udaliśmy się do Waniewa,rodzinnej wsi.W Waniewie,którego nie widzieliśmy przez sześć lat zastaliśmy dom,pozostałe budynki gospodarskie,w czasie wojny zostały spalone.W domu tym mieszkał matki brat,gdyż jego dom i zabudowania zostały spalone.Prócz domu nie mieliśmy żadnych środków do życia.Częściowej pomocy udzielił nam matki brat,częściowej państwowy urząd repatriacyjny w Białymstoku,który przydzielił nam trochę damskich ciuchów.Następnie mamusia nawiązała kontakt ze swoim bratem i siostrą ojca,którzy przebywali w Stanach Zjednoczonych.Kuzyni ci pomogli nam częściowo stanąć na nogi.Przysyłali nam dolary i paczki.I tak rozpoczęliśmy życie w Polsce Ludowej.

Mieszkając w barakach począwszy od 1941-go roku,kiedy w baraku mieszkało 120 rodzin,to pamiętam,że pan Flora,starszy pan,były kolejarz,którego córka była nauczycielką przed wojną - ona zajmowała się nauczaniem polskich dzieci.To nie było oficjalne nauczanie,ale ta pani próbowała być taką nauczycielką.Dokształcała nas,młodsze dzieci.

Natożiast pan Flora występował u nas w roku księdza.I my wieczorami zawsze modliliśmy się.Każdego dnia była wspólna modlitwa wieczorna,wspólne polskie pieśni religijne.Ja dōdziś pamiętam wszystkie polskie pieśni religijne,których właśnie tam się nauczy-

łem, bo tam Polacy naprawdę modlili się gorliwie. Tam naprawdę Polacy byli jeden drugiemu bratem. Jeden mógł być z Wilna, drugi z Łomży, a trzeci z Białegostoku, a czwarty nie wiem skąd. Wówczas wystarczyło jedno słowo "Polak", i wszyscy się serdecznie przyjaźnili. Bardzo tego żałuję, ale tego dziś nie mogę powiedzieć.

Kiedy w 1941-ym roku Niemcy ruszyli na Związek Radziecki, agitacja i NKWD była taka, że: 'wsio dla fronta i wsio dla pabiedy i że nada razbit' ~~giermancaszk~~ Ale prości ludzie, ci zesłańcy, którzy od wieków zamieszkiwali ziemie syberyjskie jako zesłańcy - marzyli o czym innym. Marzyli o tym, że może teraz wreszcie rozwali się ta sowiecka banda, która naprawdę uciskała cały naród. Bo jak ci ludzie w łagierach byli męczeni i jak znęcano się nad nimi, to wprost nie jest możliwe do opisanie. Kto nie był tam, ten tego nigdy w życiu nie zrozumie. I nie może uwierzyć, że w takich warunkach, w takiej katordze ludzie mogli tam żyć.

Nawet komsomolcy, którzy pracowali tam, na podniatoj celinie, z Charkowa, z Leningradu, z Moskwy też to jakoś przeżywali. Mieli kupę pieniędzy, tylko za te pieniądze nic nie mogli kupić. Pajka chleba i porcja jedzenia, którą dostawali - bo się mówiło, że wszystko dla fronta - i oni nawet śpiewali taką piosenkę; pamiętam ją do dziś:

Dzięgi jest a chleba nie tu
w ławki niet czewo kupit'
dzierżonoczki, abmańszczyki, bradiagi, chuligańczyki
za czto mnie was lubit'
raz niet czewo kupit'.

To śpiewał komsomolec, a nie wróg narodu.

Po powrocie do Polski zastaliśmy popioły i zgliszczca. Wprawdzie został nam dom, którym opiekował się brat, ale ~~ma~~ on mieszkał w tym domu z rodziną i my we trójkę, tzn. Mamusia, siostra i ja, zamieszka-

liśmy w tym domu, mając jeden pokój i kuchenkę do swojej dyspozycji. Ojciec natomiast jeszcze przebywał na Syberii. Nie wiedzieliśmy nawet, czy on żyje i czy gdzie jest, bo ostatnio nie utrzymywaliśmy z nim żadnych kontaktów.

Ja rozpocząłem naukę w Liceum Pedagogicznym. To znaczy już w wakacje u pana Półbrata, przedwojennego kierownika szkoły, który był przyjacielem mojego ojca, pobierałem nauki języka polskiego. A to dlatego, że mieszkając przez tyle lat na Syberii wprawdzie uczyłem się w polskiej szkole, ale z językiem polskim nie było u mnie najlepiej.

Po przygotowaniu przez pana Półbrata składałem egzamin do Liceum Pedagogicznego w Białymstoku. Na szczęście składałem egzamin tylko ze śpiewu. Egzaminował mnie profesor Sobierajski, słynny pan profesor śpiewu i muzyki. Zaśpiewałem: "Legiony to...". Pochwalił mnie. Wypadłem dosyć dobrze. Chociaż w tym czasie na egzaminach pamiętam jak dzisiaj, moja serdeczna przyjaciółka obecnie szanowana pani profesor - śpiewała po rosyjsku, bo polskiego języka nie знаła. Ale i ona też zaliczyła.

Od tamtych lat minęło sporo czasu. Po dwóch latach wrócił z Syberii mój ojciec. Już teraz nie żyje. Trochę spraw zatarła pamięć. Ale poczucie upodlenia i strasznej krzywdy pozostało i zapewne nadal pozostanie. Na to chyba nic się już nie da poradzić. Przecież Syberia zabrała mi dzieciństwo, zabrała mi siostrę i nadszarpnęła zdrowie całej rodziny.

Notował: S. Sianko.